

„WARUM“ SCHUMANA.

NO W E L E T K A.



Był wyjątkowo pogodny wieczór. W powietrzu rozlewał się wielki i uroczysty spokój, który największych filistrów „wyprowadza z równowagi“ i nastraja cokolwiek inaczej, niż po wypróbowaniu kilku kufli „pilznera“, lub sprzątaniu z powierzchni ziemi całej serji „kanapek“.

Niewiem jak zabląkałem się do mieszkania jednej ze znajomych dam. Prawdopodobnie miałem jakiś drobniaczek do załatwienia. Kiedym wszedł na korytarz, doleciało mnie stłumione echo gry na fortepianie. Z pod wprawnych paluszków wydobywała się jakaś na pół tęskna, na pół rozpaczliwa melodia, a klawisze tego instrumentu, z którego tylko prawdziwy talent jest zdolny wydobyć piękno i siłę, drgały jak żyjący człowiek chaosem uczuć, przebiegających się nawzajem w mistrzowskim porządku i harmonji...

Przez drzwi uchylone wszedłem cicho do pokoju, zanurzonego w romantycznym półmroku. Samotna koncertantka siedziała przy pianinie obok otwartego okna, przez które majowy wieczór rzucał rozkoszne tchnienie wiosny. Na tle tem odcinał się klasyczny profil bladej cokolwiek i pięknej twarzy kobiecej, w której gorzało dwoje oczu, rozjaśnionych nieokreśloną tęsknotą, jaką w duszy ludzkiej budzi każda rzewna melodia, a cóż dopiero zagrana w tak dziwnie nastrajających warunkach.

Z pianina uleciały ostatnie tony Schumanowskiego „Warum?“ Mimowoli, ulegając czarowi tej muzyki, westchnąłem, i westchnienie to obudziło koncertantkę.

— Pan tu? — zapytała z uśmiechem, z którego wycierało lekkie pomieszenie.

— Jak pani widzi — odparłem popieszczenie z głębokim ukłonem. — Bez wiedzy pani i bez zapytania: „czy wolno?“ stanowiłem dla jej koncertu audytorjum, które dlatego tylko nie bije brawa, że nie chce być banalnym i nie życzy sobie zakłócić oklaskiem tej tajemniczej atmosfery, jaką wytwarza muzyka Schumana, w takim zwłaszcza wykonaniu...

— Pochlebca z pana! Ale tak szczerze, bez komplementów, czy lubisz pan ten utwór? Bo jest w nim coś dziwnie chwytającego za serce, coś, co się odczuwa, ale nie da zdefiniować słowami. I wie pan, co za osobliwa myśl nasunęła mi się przy wykonaniu tego „Warum?“ Schumana? Posłuchaj pan.

... Kilka dni temu, ja i jedna z moich przyjaciółek, rozmawiałyśmy na temat nieszczęśliwej miłości. Ja stanowiłam stronę neutralną, moja przyjaciółka interesowaną. Biedactwo siedziało w niewoli Amora kompletnie pogrążone — bez iskierek nadziei. I na prawdę, żal mi jej było. Taka młoda, tyle posiadająca powabu i warunków do szczęścia, a je-

dnak nieszczęśliwa. Wydawało mi się to ogromną jakąś niesprawiedliwością ze strony tego fatum, które kapryśnie włada uczuciami ludzi i dzieli je, lub łączy wedle upodobania. Współczułam serdecznie z mojem rozkochanem biedactwem, a po głowie chodziło mi ciągle uparte pytanie „Dlaczego?“ — w którym skrytykował się cały bunt przeciw tej niemożliwej niesprawiedliwości losu. Dlaczego gorące uczucie nie musi być odwzajemnione? Dlaczego dwa serca, dwa umysły, dwie egzystencje, które zdają się być od kolebki przeznaczone dla siebie, tyle razy rozchodzą się w dwie przeciwne sobie strony i pozostają dla siebie zimne, obojętne i obce? Dlaczego wewnętrzny ogień, któryby mógł stać się żywym promieniem dla tylu istot szlachetnych, trawi je i zamienia w martwy popiół, pod którym pozostają tylko ślady przebytych cierpień. Dlaczego? Dlaczego?.. I co pan na to powie, dziś, gdy po raz nie wiem już który, grała moje ulubione „Warum?“ Schumana, znalazłam odpowiedź i uspokojenie w tych czarownych tonach. Zkąd to przyszło — nie wiem. Dość, że naraz wydało mi się, że taki ogrom uczucia, tęsknoty i zapалу mogła rzucić na papier tylko nieszczęśliwa, niezaspokojona miłość i gdyby było możliwe zajrzeć w duszę Schumana w chwili, gdy komponował swoje „Warum?“, założyłabym się, że na dnie jej znalazłoby wątpliwość, gorzkość i zawiedzioną nadzieję. Napełniło mnie to jakąś otuchą. Powiedziałam sobie: wszystko ma swój cel właściwy i kto wie, czem byłaby dziś poezja i sztuka, gdyby nie miłość nieszczęśliwa?...

Szczerokość, jaka była z tych słów, miała w sobie coś niewymownego, pociągającego. Słuchałem ich tak, jak się słucha każdego zwierzenia duszy czystej, niezatrutej jadem materializmu, duszy, w której piękno i sztuka mają wybudowany dla siebie ołtarz i sanktuarjum... A lekki majowy wiatr wschodził swobodnie przez otwarte okno i poruszał kartkami Schumanowskiego „Warum?“

Emil Hołod.

Mobile.

Widząc, jako się biała płeć
Odmienia wciąż, co chwilę,
Powiedział pewien zaorny mąż:
„La donna è mobile“.

I odtąd cały meżki ród
Powtarza to niezbiecie,
Ze zmienność serca cechą jest
Ze wszystkich cech — w kobiecie.

Lecz inny mąż, filozof snadź,
Co głębiej w rzeczy wnika,
Od serca niewiast przeszedł wprost
Do buzi i — języka.

I wtedy ów-to mędrzec rzekł
Tak (pomysławszy chwilę):
Tu się zaczyna, człeku, wierz:
Perpetuum mobile!...



Z mogilnika.

Płoną światła na mogiłach,
Lśnią barwami wieniec.
Tłum przepływa falą, — w tłumie
Starej i młodzieńce.

Tłum przepływa falą, wzbiera,
Olbrzymieje, wzrasta
I rozpierzcha się, rozpryska,
Śród umarłych miasta.

Ten, ów spieszy, — upominek
Na mogiłki niesie,
Więc oddacza się od fali.
Znika w krzyżów lesie.

Dąży na grób ojca, matki,
Brata, przyjaciela.
I modlitwą, kwieciami, światłem
Drogich swych obdziela.

Inny znowu pośród mogił
Obojętnie kroczy
I ciekawe w różne strony
Ciągle zwraca oczy.

Nie zawiesza wienieców, światła
Nigdzie nie rozpali;
Stanie, spojrzy, westchnie czasem
I podąży dalej.

Jednych wielu — drugich wielu.
Ale więcej pewnie
Tych, co przyszli się pomodlić
I zapłakać rzewnie.

To też w każdej mogilnika.
Kiedy spojrzeć, stronie.
Tysiąc jest modlitwy szepce.
Światła milion płonie.

Płoną krzyże, — mauzolea
Toną w blaskach całe
I grobowce niebotyczne
I mogiłki małe.

Płoną drzewa, co korona
Gina w mgłę jesieni;
Płoną liście; mgła się nawet
Zdaje być z płomieni.

Wiatr, niesforny zawadłako,
Po drzew szczytach hula,
Trzęsie niemi, zieleni świeżą
W zwiędły liść otula.

Spada na dół, — po mogiłach
Oświetlonych hasa —
Świsnął, dmuchnął, — tu i owdzie,
Światło drży, przygasa.

Ej, ty wietrze zawadłako,
Co ci przyjdzie z tego?
Krzywdzisz żywych i umarłych,
Krzywdzisz — i dlaczego?

Boli żywych to, bo klóćsz
Im przez swoje wianie
Dumy, modły za tych, którzy
W zimnym śpią kurhanie.

Bolą zmarłych twoje, wietrze,
Haree i gonitwy,
Bo pozbawiasz ich podarku:
Światła i modlitwy.

Spokój zmarłych to rzecz święta,
Zakończ więc hałas,
Z mogilnika idź precz sobie,
Na bory, na lasy.

Ej, ty wietrze zawadłako,
Kiedy się rozpętasz.
Nie szanujesz nic na drodze,
Choćby to był cmentarz.

Woj—ski.

